

Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 2 Lutego 1900.

Kroniczka warszawska.

(Dobry tłum warszawski — swyczał „zacządek” — biały krak między kamienicznikami — osobliwe wyprzedzić — „spektakił godzien bogów” — dyktantem recenzentów — nowe gwiazdy — rada na droższą węglę — zamki królewskie).

Książę karnawał w pełni władzy, to oczywiste za dnia i w nocy i są podobno szczęśliwy, którzy nie nie czują prócz zapachu kolacyjek, nie nie widzą prócz dekolowanych biustów, słyszą zaś jedynie pobudkę do mazura lub winta.

Mówią, że nastrój karnawałowy oszalała a karnawałowiez łatwo popadają aż w rozpamiętanie... hm, to zależy jak w których warstwach... widzę bowiem, że i ludek warszawski bawi się w chwilach wolnych ochotczo, klaszkoze w dłonie w wybornie prowadzonym teatrze ludowym, podnieca okrzykami rumaki cyrkowe, ale wyuzdania, zatopienia się formalnego w wirze rozrywek, nie dostrzegłem.

Przeciwnie: a propos cyrku, w którym łamane sztuki „artystów” napelniają zwykle serce ludzkie uczuciem niesmaku, żalu i gorzoty, to tam właśnie dzięki warszawskiemu „tłumowi” szanłem chwili rozrównienia i szczerego rozradowania.

Jasny ten moment wywołały popisy małego kontorsionisty: wyrostek ten dla miłego grosza wytwarza z siebie najwstrętniejsze karykatury.

W scenie kulminacyjnej występu, kiedy krącił się mylnikiem, jakby był kamieniem a nie człowiekiem, ktoś z widzów, nie mogąc snąć znieść tego widoku tortury ludzkiej, zawołał glosem donośnym: „dosyć!” i za nim tysiąc głosów „tłumu” powtórzyło okrzyk: „dosyć, dosyć” domagając się położenia kresu tej zabawie okrutnej.

I stało się zadość woli tłumowi, którego, jak widzimy, nie należy posiadać zbyt pochopnie o sile instynktu. Często bywa on bardzo sprawiedliwym i zupełnie ludzkim.

Nieludzkości szukać trzeba tu gdzieindziej: wśród takich spekulantów węglowych, co to podczas trzaskających mrozów umieli wyrubować ceny węgla do 4 rubli za korzec i wśród kamieniczników, co z okazji końca XIX wieku zdobywali się na podwyższenie komornego naprzykład z 2800 na 5600 rubli.

Zgroza i ból wstrząsać musi każdego, kto odzwiedzając izdebki ludzi ubogich, ludzi ciężkiej pracy, widział ściany lodem pokryte, niemowlęta skostniałe z zimna i z piętnem śmiertelnej choroby na sznialiach nsteczkaach. Zgroza i ból przejmują, gdy przeglądamy stałą i coraz to obszerniejszą rubrykę w piśmie codziennym pod ponurym tytułem: „zacządek”.

Już nie jednostki oddzielne, lecz całe rodziny (przeważnie z warstw robotniczych) ulegają zatraceniu przez czad podczas ostrych mrozów i jednoczesnej orgii spekulantów giełdowych. Ludziska rozłakomili się a węgiel i ziębnąc przez sześć dni w tygodniu, siódmego „uczoicie” napalają w piecach, a choć zaozczędzić ciepła, zasuwają jak najprędzej tak zwany „szyber” skutkiem czego czad szkodliwy niemając ujścia na zewnątrz, rozchodzi się wewnątrz mieszkanca.

Skorom już napomknął o właścicielach domów — pijawkach, trzeba także do herbarza szlachetnych zapisać „białego kraka” z wśród kamieniczników. Oto niedawno umarła tutaj niejaka s p. Kowalewska, której dom zasługował na nazwę „patryarchalnego” w całym tego słowa znaczeniu. Po śmierci męża, dawnego kupca, który umierając przed kilkoma laty, pozostawił zapisy lokatorom, służbie i stróżowi wdowa naśladowała męża swego najściślej.

W domu jej ani razu nikomu nie podwyższono komornego, ubodzy lokatorowie otrzymywali zapomogi, mieszkanie zaś gospodyni było bezpłatną jadalnią dla ubogich którzy nadto otrzymywali od niej stałe wsparcie.

Do „osobliwości” naszego grodu, rzucających się w oczy zwłaszcza przejeźdnym, należą niepomierne liczne „wyprzedzki”. Są to niemal wyłącznie operacje spekulantów nalewkowskich.

Ażby sprzedać stary, odleżały, albo mniej wartościowy towar „kupiec” wynajmuje sklep na imię swego subiekta i zaopatrjuje go w stary towar, a w zamian otrzymuje od subiekta weksle, które dyskontuje ze swoim żyro. I idzie „wyprzedzać”!

Gdy nadchodzi termin płatności weksłu, subjekt, jak to było do przewidzenia, odmawia wypłaty — w skutek czego sklep z całym towarem wystawionym zostaje na licytacy,

do czego właśnie dąży pomysłowy spekulant, gdyż tym sposobem towar odleżały znajduje zbyt.

W najgorszym razie subjekt, który nie ma nic do stracenia, ogłasza bankructwo — i sprawa kończy się również pomyślnie dla spekulanta z niewielką jedynie zwłoką.

Tragi-komiczne widowisko mieliśmy tutaj niedawno. W teatrze Wielkim święto! Mimo a może właśnie w skutek cen podwójnych, łoża i krzesła szczerle zapelnione — bukiet pań nadobnych, eterycznych panienek i wiotkich podlotków, a między temi strojnymi kwiatkami czerniły się fraki, polyskiewali gorsy glansowane i — łysiny.

Podnosi się kurtyna i ze sceny rozbrzmiewa język „boskiej” Yvette Guilbert — jesteśmy w domu! Toż to na powitanie występu trupy francuskiej pana Gallipaux sgruchniał się „świat” warszawski.

Nasze „mondaine’y” i towarzysząca im „jennesse dorée” zostały jednakże srogo ukarane za ten ostentacyjny hold przed cudzoziemczyzną, albowiem — i dla tego to rozmyślnie zacytowałem powyżej osławioną szansonistkę paryską — p. Gallipaux i towarzysze tak sobie w pieprznej sztuce ujawniali „sans gêne” manieri tingl-tanglowe, że z wśród wytworniej publiczności poczęły się — o dziwo — odzywać stłumione sykania...

Nie w tem jednakże dopatrują się tragiczizmu, którzy bowiem rozozulali się nad tem, że w grodzie syrenim (a może i gdzieindziej?) kwitnie kult cudzoziemczyzny i że za nasze ozolobitności przed fetyszami z nad Sekwany, Sprewy itd. otrzymujemy zwykle szcztunk w nos!... To takie powzednie i jakby rozumiejące się samo przez się!

Spektakił „godny bogów” rozpoczął się dopiero wtedy, gdy nasi angurowie od krytyki teatralnej nie tylko wymyślali słusznie towarzystwo p. Gallipaux od „trupy z Pacanowa” lecz także karčili surowo publiczność za to, że dała się wzięć na arcykosztowne plewy otudoziemskie.

Kazanie bezwarunkowo uzasadnione — kwestya tylko, czy wolno było wygłaszać je tak śmiało, publiczną bowiem jest tajemnicą, że „recenzje” teatralne właśnie poczynniejszych pism i piemek grubo przejadły się ludziami o jakich takich wymaganiach estetycznych i odrzucają wprost inteligentniejszy ogół od teatru i pośrednio popychają do szukania wrażeń na występach takich panów Gallipaux... Bezustanne mlenie samych superlatywów, niesmaczny ton panegiryczny tak zwanych „recenzyj” sprawia, że ogół przestał zupełnie wierzyć w zdolność wydawania sądu przedmiotowego o naszych domorosłych „Sarcocy’ów”.

Bo i jakże tu wierzyć, kiedy ci panowie boją się zaznać, że np. głos naszej, zresztą istotnie „niezrównanej” (ulubione wyrażenie „recenzentów”) primadonny Kruselnickiej ma niekiedy brzmienie ostre, że primadonna druga Korolewiczówna bywa czasem w grze efektowna, że w teatrze Małym są aktorzy, którzy skandalicznie szarżują, że (potrzeba było aż Kraję petersburskiego, żeby to napiętnował) reżysera bywa niżej krytyki itd.

Zgadł to pochodzi, że jakkolwiek recenzje teatralne zajmują w dziennikach naszych nieproporcjonalnie dużo miejsca, to w istocie mało wiemy o teatrze i nie wiele dowiadujemy się o grze aktorów, ostatni zaś nie odnosząc z recenzji żadnego pożytku, idą sobie samopas...

Czemu przypisać ten upadek krytyki teatralnej? Odpowiedź łatwa: berło recenzentów dzierży panowie (znawcy) którym odpowiedzialny urząd recenzenta zapewnia jedynie miłą rozrywkę między obiadkiem a kolacją i którzy zajmując przetrzenie, uto uposażone synekury w instytucjach, nie mających z teatrem i dziennikarstwem nic wspólnego — za nie w świecie nie zakłóciłoby sobie życia bez troski, nie sepsuliby sobie humoru jakimś niedostatecznie ocukrzonymi uwagami o wykonaniu sztuki. Druga kategoria „recenzentów-dyletantów” także rozpyła się z szosłiwości ex re rozsiadania się w fotelach pierwszego rzędu i bywa nado w zbyt żayłtych stosunkach z światkiem artystycznym.

Podobne zabagnienie zapanowało zresztą i w innych dziedzinach krytyki, że dotknęła tylko recenzji z salonów sztuki. Brzd od pedzła słusznie przedrwiwa „znawstwo” krytyków poczynniejszych organów, a taki pan Miłosz Kotarbiński z gryzącą ironią wykazał niedawno w *Słowie*, jakie dziwolagi wypisują się u nas o dziełach pedzła!

Tymczasem na wystawach naszych zakpięło życie, zaroiło się od nowych talentów, które mają prawo do krytyki sumiennej i gruntownej. Taki np. pejzażysta Ruszczyko pozostanie chyba pierwszorzędnym, fenome-

nalnym kolorystą polskim. Jego krajorazy (Ziemia — Młyn w śniegu — Ostatni śnieg itd.) wystawione w salonach Zachęty tchną ogromną poezją, imponującą siłą a zarazem ujmującą prostotą.

Taki Trzebiński, któremu jeden tylko p Niewiadomski poświęcił w *Kur. Coda* parę słów gorętszych, nie dooczekal się nominacji na „naszego znanego i utalentowanego” i wyjechał znów do Włoch.

Taki Okuń, który całą kolekcję obrazów wystawił w salonie Krywulca — zasługuje również na szerszą zachętkę krytyki, bo to talent niewątpliwy ohoł borykający się jeszcze w pierwszym fermencie artystycznym. Będzie z niego może drugi Wyczółkowski.

Ten ostatni także prezentuje się na wystawie z kilku kapitalnymi plótnami. Nie mówię „obrazami” bo pastele Wyczółkowskiego, jak słusznie mówi p. Niewiadomski, gdy są obrazami, to mają charakter skombinowanych studyów, tak dalece pierwiastek żywoyi, psychologiczny jest uniesiony na ostatni plan. Za to studia jego są po prostu obrazami — nie obrazami — poematami barw, których siła i intensywność dochodu do jakiegoś niedoścignionego przedtem poziomu.

Impresjonizm stał się zrozumiałym dopiero w rękach takiego talentu jak — Wyczółkowski. Wykazało się, że nie polega on ani na malowaniu koniecznie czystymi farbami, ani na zakazie używania ich w liczbie większej niż trzy tj. żółtej, czarnej i niebieskiej.

I sprawy społeczne nie mniej powierzone, bo maosomemu traktowane są w naszej prasie, jak krytyka artystyczno-literacka.

Jaskrawego oo do tego przykładu dostarczyła kwestya węgla. Zamiast ostro natrząca na bezwstydnym spekulantów węglowych (Goldsteina wrocławskiego, tutejszego Wartheima i dwóch jego współników „chrześcijańskich” zamiast, jak to się dzieje w pięknych sprawach zagranicą — sporządził na własną rękę statystykę nadużyć spekulacji, wysłał armię reporterów (myszkujących wtedy po „ohoinkach” wentach i balach) na zwiały i w celu wytrpienia mniejszych spekulantów — szanowna prasa warszawska lękała po dawnemu sążniste artykuły o Boerach, sprzeczała się zawzięcie o to, czy żyjemy jeszcze w XIX czy XX wieku itp. — bo przecież to wszystko ważniejsze niż fakt popolity, że tysiące biedaków marznie...

Aż wreszcie ruszyła się policya, wylała spekulantów, wzięła ich na spytiki, wykryła jakie zyski osiągnęli ze zwykłej cen węgla — i znnowu cisza.

Poszczególne się naszym „ruchlwym” i dbałym o „dobro ogółu publicystom” tylko o tyle, że o pieczołowitości władzcy z Belwedera mogli wozesniej obwieścić światu anizeli *Dziennik Warszawski*! I szczególnie to sprzyjało organowi, który najmniej się gniewał na spekulację węglową i który — dzięki „stosunkom” swego wydawcy — ma przywilej przepowiadania wszelkiej drożyzny.

„Lejt-artikler” tegoż organu posiada słuch zajory — to też nie uszło jego uwagi, że trzech nieznanających oo urzędników Boosyan szepce sobie u sąsiedniego stolika (w oknierni) i że zapadła decyzja w zamku, że korzec węgla ma kosztować oo najwyższej rubla i 40 kopiejek, a wszyscy, którzyby spekulowali w dalszym ciągu, mają przejechać się do Arohangeliska! Nasz publicysta w derdy do redakcyi i trąbi wielką nowinę w porannem wydaniu, co cenzor zaspany przeoczył. Później zrobił się w cenzurze gwałt i „sensacyjna” wiadomość ukazała się w innych piśmiech dopiero po wydrukowaniu jej w organie urzędowym.

Książę Imeretyński wydał rozporządzenie, które sympatycznie zostało przyjęte w całej Warszawie i za które wdzięczni mu będą turyści, tak licznie nasz gród odwiedzający.

Mowa tu o ulatwieniach, jakie poczyniono w ostatnich czasach wszystkim tym, którzy pragną poznać zabytki naszej przeszłości, zawarte w zamku królewskim. Jeneral-gubernator rozporządził, aby każdemu (z wyjątkiem żydów) wstęp do pałacu królewskiego był dozwolony i aby zwiedzającym lokaje zamkowi pokazywali historyczne zabytki, objaśniając je po polsku i po rosyjsku. W warszawskich pałacach cesarskich stoją nieknięte posągi królów polskich, portrety ich, bogate zbiory porcelany, meble kosztowne tak, jak stały w XVIII wieku.

Od wstąpienia na tron Mikołaja II ustał system rabunkowy przewożenia wybitniejszych pamiątek do Petersburga i został odtąd ma na zawsze *status quo*. Od czasu wywiezienia stąd dwóch flamandzkich obra-

zów (jeden miał być Rembrandt) za panowania Aleksandra III nie wywieziono później nic więcej.

I z rozrównieniem widz patrzy na skromne, zębem czasu nadniszczone meble króla Jana Kazimierza najstaranniej poobwijane pokrowcami, aby do dalszego nie dopuścić zniszczenia. Z pieczołowitością otulają oarscy lokaje ekran, darowany przez papieża Janowi Sobieskiemu i stół tegoż drewniany, inkrustowany, arcydzieło stolarskiej roboty i drugi stół tegoż oaly srebrny.

A posągi: Bolesława Chrobrego, Batorego i Kazimierza Wielkiego są tak szanowane, jakby dziś wyszły z pod dłuta rzeźbiarza. Nie tak wygląda przesłony, renesansowy kominek Zygmunta III.

W innym królewskim zamku kominek na którego marmurowych, artystycznych rzeźbach żołnierze buty czyszczą i karabiny wieszają...

Gmach parlamentu angielskiego.

Parlament angielski otwarł we wtorek swoje podwoje po kilkumiesięcznej przerwie.

Parlament angielski w dzielnicy Westminster, budowa w stylu późniejszego gotyku, najpiękniejsza w Londynie, stoi stosunkowo od niedawna. Zbudowano ją w 1840 do 1852 r. wedle planów architektury sir Karola Barryego, kosztem trzech milionów funtów. Zajmuje ona przestrzeń 3/4 hektarów, liczy 1.100 pokoiów i 11 dziedzińców. Ma trzy wieże, a z nich Victoria-Tower jest na 103 metrów wysoką i wieża zegarowa na moście Westminster (parlament leży tuż nad Tamizą na jej lewym brzegu) liczy 97 m. wysokości. Wieża środkowa jest wysoką na 81 metrów. Front zwrócony do Tamizy, liczy 275 metrów długości, osobiono go posagami wszystkich monarchów angielskich. Wnętrze sal przyozdobiono z niezmiernym przepychem. Pięćset posągów, freski, obrazy na szkle, ozdoby sycerskie, mozaiki, kandelabry brązowe mają reprezentować potęgę i bogactwo Anglii.

Pięknymi zwłaszcza są: sala posiedzeń izby lordów, gdzie stoi tron monarchy, a fotele parów są obite ozerwonem safranem. Sala posiedzeń izby gmin, czyli izby poselskiej, zbyt mała w stosunku do liczby osłonków o ścianach i sufitcie, wyłożonych drzewem dębowym. Osmiokątna sala centralna (Central-Hall) zdobna mozaiką szklaną wenecką, korytarze, prowadzące do owej hali, o ścianach zdobnych w freski, po ośm w każdym, sala królewska (Queen's Robing Room) a tuż obok galerja (Victoria Gallery) także zdobna w freski, wreszcie halla św. Stefana, przyozdobiona posagami marmurowymi wielkich mężów stanu. Stała ona już w 1880 r. poczem ją w 1884 r. odnowiono.

Z tej hali przechodzi się do hali westminsterskiej. Jest to budynek bardzo starożytny, już w 1398 przebudowany, a potem drugi raz w 1820 r. Jest na 73 m. długi, a na 28 m. wysoki bez kolumn.

Służąca owa halla od samego początku ku celom państwowym angielskim. Tu złożono z tronu królów Edwarda III (1327) i Ryszarda II (1394) — mianowano Cromwella lordem protektorem, skazano na śmierć Tomasza Morusa, Somerseta, Essexu, Guy, Fawkesa, prowadzono rozmaite głośne procesy stanu.

W skrzydle północno-wschodnim mieści się wspaniała rezydencya „mowcy” (speaker) czyli prezydenta izby gmin.

Czem się żywią Boerzy.

Z powodu przeszkód, jakie stawiają Anglii dowozowi artykułów spożywczych do portów południowo-afrykańskich, ciekawem stało się pytanie, osem żywi się lud w rezypospolitej boerskiej.

Nizin, na których uprawiać można ziemię z korzyścią, jest w Transwaalu stosunkowo mało. Przeważnie zajmują się tedy Boerzy hodowlą bydła, owiec, kóz, świń, koni, osłów i mulów. Olbrymie ugory nadają się znakomicie ku temu. Normalne pastwisko boerskie rozciąga się na obszarze około 15.000 morgów. Ugór taki przeryniają zwykle i okalają pasma gór skalistych. Z uguru 15.000 morgowego ma Boer pod pługiem około 400 morgów, jego Kafrowie — wolno mu bowiem trzymać sześć rodzin krajowców — uprawiają jeszcze jakie 100 morgów, a reszta wraz z wzgórzami jest pastwiskiem.

Trawa nie rośnie tam zbyt bujna i jedynie podczas okresu deszczowego wyrasta wysoko. Wtedy dzieje i noc pasie się bydło — po prostu się tuczy! Trwa to tuczenie od października do kwietnia, to jest przez całe lato południowo-afrykańskie. W zimie od maja do września, w czasie posuchy trawa na pastwiskach obumiera, bydło chudnie, bo Boera nie stać na paszę zimową. Skutkiem tego Boerzy nie sprzedają ani mleka, ani masła, ani sera, bo artykułów tych nie starczy nawet na własne potrzeby. Jakoż na stołach zamoznych Boerów spotyka się skondensowane mleko alpejskie w blaszankach, ser limburski, masło z Sawajocaryi w puszkach blaszanych. Z korzystniejszej, pod względem klimatycznym położonego Natalu i z Kaplandu dowożą także masło do Transwaalu.

Chów bydła i owiec przynosi zatem Boerom głównie skóry, mięso i wełnę. Boerzy są zatem narodem w najwyższym stopniu „mięsożernym”.

Obok mięsa żywi się Boer wyrobami z kukurydzy, chociaż nie brak zresztą i owsa, jęczmienia, pszenicy itp. Bywają lata, że Boerzy żniwują dwukrotnie; wreszcie hodują Boerzy drzewa pomarańczowe, a niektórzy z nich sprzedają rocznie za 5.000 zł. pomarańczę. Tu i owdzie znajdują się winnice.

W Pretorii i Johannesburgu placą za mięso ceny niskie, ale korose kartofli kosztuje około 15 zł. kopa jej przeciętnie 2 zł. kilo osarnego oheba 1 zł. kilo masła 3 zł. tusin pomarańczę natomiast 1 zł.

Transwaal jest obojętną ziemią dla importerów. Masami dowożą z Europy i Australii konserwy, jarzyny, owoce, mąkę, mleko, ser. Rzecz prosta, że z większym napływem Europejskich, dowóz artykułów spożywczych wzrosłby ogromnie, bo mimo melioracji i wydajności ziemi transwaalskiej nie wiele się podniesie.

Prosty Boer wyżyje tam zawsze; jemu wystarcza podplomyk z mąki kukurydzianej i kawał wołowiny. Dlatego zakazu dowozu artykułów spożywczych nie odozuwa on tak bardzo. Natomiast wszyscy Europejcy, żyjący w południowej Afryce, cieknięj mocno wskutek wojny i pragną jej jaknajrychlejszego zakończenia. Zwycięstwo Anglików byłoby bez kwestyi najkorzystniejszym dla handlu i przemysłu europejskiego.

ROZMAITOSCI.

Charakterystyka sir Redwera Bullera. Archibald Forbes, autor dzieła „Wspomnienia z wojen i pokoiu” który jako sprawozdawca dziennika *Daily News* brał udział w kampanii przeciw Zuluszom w r. 1879, mówi o głównodowodzącym armii w Natalu, że to „gwałtowny, nielitościwy melancholik, mający w wysokim stopniu dar, zaleśnie od okoliczności, dokuczania złośliwym milensieniem lub gryzącym słowem”. Że ten człowiek przecieł głębiej osąd umie, dowodzi to, iż rozspakał się, otrzymawszy wiadomość o niepowodzeniu Anglików w bitwie pod Colensem. Zdaniem Gossa niepoehlebne mniemanie „o strigim melancholiku i krwiożerczym żołnierzu” srodziło się w pojściach Zuluszów, sownięyoh go „bratem dyabelskim” za odwagę i energję, których skutki były dla nich niessocęśliwe.

W gruncie rzeczy Buller ma być wykształconym i miłym w obejściu rolnikiem, zamieszkanym w hodowli drzew leśnych i ogrodowych. W majątku swoim Downes, przynosiącym mu 6000 fl. st. rocznie, posiada ogród owocowy z najpiękniejszymi odmianami jabłek francuskich. Zamilowany ma być pratem w literaturze; bałady Walter Scotta umie na pamięć a dzieła Bacona i Lamba towarzyszą mu we wszystkich wyprawach wojennych. Ma także zbiór rzadkich wydawnictw dzieł Ruskina i jest wielkim zwolennikiem muzyki klasycznej.

O smach. Uczony włoski p. de Santia poświęcił dużo pracy i czasu badaniem snów i ogłasza owoce swych studyów w wysoprupującym artykule. Wedle jego spostrzeżeń sny są najczęstsze u dzieci od lat sześciu do trzy-nastu, w starszych ta zdolność do snów zanika. Na 100 wyrostków i podlotków tylko 9 nie ma snów, dziewczynki podlegają im ościszej, anizeli chłopcy. Na 100 męczyzn dorosłych, 50 śni rzadko, 27 często, a 18 ustawicznie. Na 100 kobiet, 33 miewa sny codziennie, 45 często, a 12 rzadko. U 85 męczyzn i u 45 kobiet sny są powtórzeniami rzeczywistości. Ciekawą jest rzeczą, że przestępcy śpią twarde i zwykle snów nie miewają. Na 93, tylko 38 widzi swój czyn zbrodniczy we śnie. Im który jest większym lotrem, tem śpi smaczniej, a zwykle najlepiej — zaraz po dokonaniu morderstwa i następnym nocy. Tłomaczy się to brakiem poczud moralnych i zmęczeniem po nadmiernym wysiłku.

W ZADROŚCI

Napisał JULIUSZ MARY.

(Ciąg dalszy).

Zwrócił się z błaganiem serdecznym do kapitana:

— Mój kapitanie, niech nikt się nie dowie... To byłoby okrutne... Gdyby w przystępie szaleństwa nie był się oskarżył, tak urządziłem wszystko, że pan nawet nie dowiedziałby się o niemości... I nigdy w życiu nie odezwę się publicznie, że próbowałem go ocalić. Zaprzeczę wszystkiemu... wbrew jego woli... wbrew panu, wbrew wszystkim... Kto dowiedzia, że nie mówię prawdy?... Słuchając tego, co porucznik będzie mówił i tego co ja, jakie zdanie powiem... Mój kapitanie, błagam w imię tej armii, w której obydwa służymy.

— Powiniem oddać tego człowieka pod sąd — mówił kapitan w samyśmieniu — powiniem żądać, ażeby był ukarany... a jednak!

Długo się wahał. Na męskiej jego twarzy malowała się walka wewnętrzna. W końcu wyznał bardzo cicho:

— Niech tak będzie sędziowie, ulegam twoim prośbom... bo po tem, co się stało, nie mam prawa zaprzeczać, że robię to dla twojej salubetnej interwencji. Będę miłośca!

— Och! mój kapitanie!

— Z żalem to robię, przysięgam...

Przystąpił do Bagona, siedzącego nieruchomo:

— Złóż pan umnie podanie o dymisyje... Jesteś pan niedzielnym... niegodnym zostać pomiędzy nami...

— Oto jest... Od wesora gotowe...

— Poprę pańska prośbę... dam za powód stan zdrowia... Wysię saras dziś wieczorem... i będę czekał tu w Chapioux, odpowiesz mi... Uwalniam pana od obowiązku dowodzenia posterunku... Jesteś pan wolny...

— Dobrze... mój kapitanie... dobrze, dziękuję!

Tyle tylko odpowiedział.

Duroque i Maroigny wyszli razem i zamknęli się w pokoju tego ostatniego.

Kapitan znalazłszy się sam z młodym osławionym, wyciągnął do niego rękę, mówiąc:

— Moje dziecko! moje drogie dziecko. Maroigny padł w jego ramiona, jak gdyby był synem tego człowieka, który jednak nie więcej nad sześć lat był od niego starszy. A kapitan całował go, jak syna, jak brata.

We dwa tygodnie przyszła odpowiedź ministra. Dymisyje Bagona „oparta na złym stanie zdrowia“ wysłana do władzy wyższej i przedstawiona w ministerium w Paryżu, została przyjęta.

Nasajutrz saras Ragon, sanim powstawał żołnierz, odszedł sam; bagaż miano mu odesłać później, na grzbiecie mufa; przagnął jak najprędzej opuścić posterunek, gdzie zanadto cierpiał, gdzie wszystko przypominało mu, osem był i osem teraz został.

Z całego Chapioux tylko Maroigny i kapitan widzieli, jak oddalał się po śniegu, mała stopniowo, potem w dali, na zakrętach ścieżek, tyle razy przebywanych, ukazał się raz ostatni i znikł z oczu, znużony, z głową opuszczoną, sgarbiony pod ciężarem wyrzutów sumienia...

Tego samego dnia wieczorem, nie jadłszy nawet nic od opuszczenia posterunku, pukał do domku w Sapin-Brulé, przychodził prosić matkę o przytułek...

Tom II.

CZEŚĆ TRZECIA.

Tajemnica Maryi-Róż.

I.

Stara Cecylia siedziała przed ogniem z gałęzi jodłowych, gdy naraz ułazła silne kołatanie do drzwi. Wyprostowała się. Czy jakiś podróżny? Rzadko się taki zdarzał w dzikiej rozpadlinie, gdzie tartak był czynny tylko latem i dokąd prowadziła z Albertvillu jedna droga dla mułów. Czy wiatr wstrząsa drzwiami? Czekala długą chwilę.

Zaczęto dobijać się na nowo, a jednocześnie ktoś próbował drzwi rozwarzyć. Cecylia nie miała nigdy odwiedzających; nie spieszyła się, tem więcej, że w stronę Francji przechodzili często włoścacy, przemysłnicy, nawet szbiegi z Włoch.

Po raz trzeci rozległo się kołatanie i odeswał się głos:

— Matko! Matko! Czy jesteś w domu? To był głos Piotra, jej syna. Bzucała się do drzwi, odsunęła zapory i przycisnęła do sera swojego syna, upadającego ze znużenia.

On! o tej porze — on, którego ona oczekiwała dopiero za dwa miesiące, na wiosnę! Co to znaczy? Bez mundurów, w ciemnej kurtce, w dolnym ubraniu myśliwskim; na głowie mały kapelus, na ramionach przewieszony płaszcz ciepły. Leżał jak twarz była zmieniona!

Matka patrzyła na niego w milczeniu saledwie go poznawała. Przed paru miesiącami był taki dumny, elegancki... A teraz ukazał się postarzały, zgarbiony, twarz porwana troską, wszystkimi burzami, jakie targaly tę twardą duszę. Wsunął się z objęciem matki i upadł na stół.

— Matko, daj mi trochę wina — rzekł głosem złamanym — od rana nic w ustach nie miałem.

Podala mu z pośpiechem szklankę wina. Pił powoli a czerwone plamy na twarzy mu wystąpiły. Domyślała się jakiegoś nieszczęścia, a nie śmiała pytać. On także milczał, wiedząc, jaką jej boleść sprawi.

W końcu zapytała z bojaźnią:

— Co się stało?

— Nie jestem już oficerem — rzekł głosem obumarłym.

Cecylia patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

— Co mówisz, moje dziecko? Nie zrozumiałam?

— Mówię że nie jestem już oficerem. Podalem się do dymisyji. Przyjęto ją... Zostałem dowódcą Chapioux kapitanowi Duroque i przyszedłem do ciebie, matko...

Złoczyła ręce, skła drżąc.

— Dlaczego? Skąd to straszne nieszczęście? — rzekła cicho.

— Dlatego, że chciałem zabić Maroignego, że się to odkryło... Wtedy, jedno z dwojga, albo sąd wojenny albo dymisyja. Trzeba było wybierać. Wyznałem wszystko.

— Chciałeś zabić sierżanta?

— Zamordowałem go nikozemnie... mówię ci, matko...

— Ty, Piotrze, ty, mój syn?... taki silny, taki mężny?

— Tak, ja. Odkąd osiadłem tam w górach, w tej samotni, blisko niego, oszalełem naprawdę... bijąc się z myślami. Ja sam chciałem tego. Sądziłem się silniejszym od niego, a on właśnie okazał się silniejszy.

— Ach! Boże! mój Boże!

Stara Cecylia przeżegnała się, głowę spuściła.

— Wiem, matko, że ci boleśno sprawiam, wielką boleśno. Przebac. To nie moja wina. To szaleństwo! Nie pamiętasz co pisałem?...

— Pamiętam, pamiętam, list ten noszę na sercu... Patrz, to jest krzyk twojej rozpacz: „Matko, matko, jeżeli mi nie pomożesz, zginę... W głowie mi się pali. Nie wiem czy to jest obłąkanie... Dałby Bóg, obłąkanie uchroniłoby mnie może od sbrodni...”

— Tak, matko, to ten sam, mój list.

— Jest w nim i wyrzut, który mnie dużo lez kosztował! „Ach! matko, matko, czemuś mnie zanadto kochała!”

— Przebac, matko, przebac!

— Przebaczyłam... nie mam do ciebie żalu, nie miałam go nigdy. Jednak na ten list rozpaczy odpowiedziałam zaraz, że przyjdę ci z pomocą.

Podniósł głowę.

— Nie nie odebrałem... Nie miałem długo do ciebie żadnej wiadomości. Śnieg nas zasypał... Dowiedzieliśmy się później, że muł niosący pocztę stoczył się w przepaść.

— A ja pamiętam każde słowo mego listu — rzekła Cecylia — Słuchaj synu co pisałem, żeby cię pocieszyć, dodać odwagi. Wyrzucasz mi, że zanadto cię kochałam... Przyznaję... To wkłada na mnie obowiązek. Matka, kochająca syna, jak ja ciebie kocham, nie cofnie się przed niczem, dla zapewnienia mu szczęścia... Miej więc nadzieję! Dotąd pozostałam cię własnym siłom — twoją miłością... Obecnie przestałam się wahać... Skoro zima się skończy i powrócis do nas, będę pracowała w interesie twojego szczęścia... Nie trać nadziei...

Spojrzał na matkę z politowaniem. Spozstrzegła.

— Myślisz, że nie spełnia rozumu? — rzekła z d iwnym spokojem. — Myślisz się, z całą przytomnością umysłu i z głębokim przekonaniem mówię: Zanim upłynie sześć miesięcy, Marya-Róża będzie twoją żoną.

Odpowiedział ze smutkiem:

— Możesz matko wszystko zrobić, co ludziom wydaje się niemożliwym, lecz nigdy nie zmusisz młodą dziewczynę, żeby nienawidziła człowieka na miłość...

— Nie powiedziałam, że użyję siły.

— Więc jakiej broni?

— Perswazyi...

— Biedna matko, zanadto mnie kochasz i ta miłość ślepa cię czyni.

Zaśmiała się dzwicznie, jednocześnie oczy jej zabłyły złowrogo.

Ragon wziął podniecenie matki za napad gorączki, podszedł do niej i ujął ją w objęcia.

— Nie obawiaj się... Nigdy nie byłam zdrowszą, nie miałam jaśniejszego umysłu.

— Jeżeli chcesz, żebym wierzył, powiedz...

— Co chcesz wiedzieć?

— Co myślisz zrobić?

— Nie powiem.

— Widzisz... Bo sama nie wiesz... Obietnice... nadzieja, jaką mi robisz... to próżne słowa... miłość macierzyńska udziela ci natchnienia, lecz, jak chcesz, żebym temu ufał?

— A ja — mówiła z warstającym uniesieniem, że słońca prawie — przyrzekam, że zrobię to... zabraniam ci wątpić, słyszysz?

Nie chciał jej się sprzeciwić.

— Dobrze, matko, wierzę ci, wierzę... Bób, co chcesz, nie będę ci o więcej pytał.

Nie mógł przypuszczać nawet co myślała, najmniejszego nie miał podejrzenia — osem chciała się posłać.

Resztą zimy przeżył w Sapin-Brule.

Czasem całe dnie nie wychodził, zagłębiony w ponurych myślach, przeżywał to, co było i drżał przed przyszłością.

Potem nagle, w przystępie gorączki, odnajdywał siłę i energię, brał fuzy i szedł w góry szukać kóz dzikich; wracał dopiero w nocy, a matka przeżywała te chwile w trwodzie śmiertelnej.

Powracal zmordowany, próbował zmęceniem fizycznym przygłuszyć wyrzuty sumienia, zabił wspomnienia w głowie bolące. Kładł się, lecz nie spał — a jeżeli zasnął, straszne mary dręczyły go ciągle przez sen.

Od czasu do czasu mówił:

— No cóż, matko, a ten twój sławny projekt?

— Cierpliwości, cierpliwości... nie nie nagli...

— Na co czekasz, matko?

— Wiosny i powrotu Maryi-Róż do Blanc-Chemin.

— A jak powróci?

— Pójdę do niej, a potem ty będziesz mógł iść...

— Będzie mnie kochała?

— Jeżeli nie będzie jeszcze czuła dla ciebie miłości, przynajmniej zerwie z Maroignym i tobie poda rękę...

— I to twoja bytność wystarczy, żeby sprowadzić taką zmianę w umyśle Maryi-Róż i projektach jej rodziny?

— Tak.

Pewność, z jaką stara mówiła, zaczęła pomimowoli oddziaływać na Bagona.

Czasami zaczynał mieć nadzieję... Nadzieję czego?

Następnie starał się nie myśleć o tem, że raz matka mu przypomni. Jednego dnia w maju, powróciwszy z Albertvillu, odezwiała się:

— Blanc-Chemin już posiada swoich właścicieli.

Zbladł i zadrżał Marya-Róża jest tak blisko.

Nie był jeszcze w Albertville po powrocie do Sapin-Brulé; nie chciał się spotykać z dawnymi kolegami z batalionu; był

by się wstydził, nie mógł bowiem powiednieć prawdy na ich przypuszczalne pytania.

Cecylia dodała ciszej:

— Posterunek opuszczony... Pozostała tylko straż zwykła... Maroigny jest w Albertvillu... Widziałam go... Wyglądał na bardzo szczęśliwego... Nie będzie nim długo...

Ragon zapytał z niepokojem:

— Kiedy, matko, pójdziesz do Blanc-Chemin?

— Jutro, nie mam potrzeby zwlekać.

— Z kim chcesz się widzieć? z panem Labarthe, z panem Duplessy, czy z Maryą-Różą?

— Tylko z Maryą-Różą... Póty będę tam chodził, aż trafi mi się sposobność z nią samą rozmówić.

Ragon zaniepokoił się... Co matka zamyslała?... Wydawała się tak bardzo pewną swego.

Rzeczywiście, nazajutrz Cecylia poszła. Patrzył na matkę, jak szła w dal ścieżką, pnącą się ku Albertville. Co przyniesie, jaką nowinę do domu?

Stara Cecylia zabrała listy Henryety Duplessy do Fryderyka, ale tylko najjaśniejszą całą sprawę przedstawiającą.

Odochodząc, powiedziała do Piotra:

— Bądź spokojny, choćbym kilka dni nie powróciła... Zobacysz mnie dopiero wtedy, jak będę mogła szczęście ci zwiastować i zobaczyć uśmiech na twojej twarzy... Bądź zatem cierpliwy.

Przycisnęła go do sera.

W Confans zatrzymała się w oberży, niedaleko od drogi pnącej się w górę do Blanc-Chemin. Była teraz pewna, że tu do wie się o wszystkim, co się dzieje w pałacyku.

Chytra, oierpliwa, przezorna, ponieważ chodziło o szczęście syna, nie chciała robić nagle, gotowa wreszcie bez litości, bez żalu nieść boleśno i niepokój w serce nieszczęsnej dziewczyny.

W parę dni znała już przyzwyczajenia Maryi-Róż i wiedziała, gdzie, w jakie miejsce najlepiej lubi chodzić na spacer.

Pogoda była ładna, choć chłodna nieco; lecz Marya-Róża nie była pieszczochą, ona to uparła się, żeby wozniej niż zwykle powróciła do Albertvillu.

Przybycie ich spotkało się z powrotem Maroignego.

Chęć widzenia się i przebywania z narzeczoną odniosła zwycięstwo nad chłodem wiosny górskiej.

Cecylia wychodziła co dzień z oberży, brała cokolwiek do jedzenia i wracała dopiero wieczorem.

Po dwóch dniach oczekiwania ujrzała wreszcie Maryę-Różę, samą, idącą na przeohadzkę.

Urządziła w ten sposób, żeby znaleźć się naprzeciwko młodej dziewczyny na wąskiej ścieżce, gdzie dwie osoby z trudem się mijają.

Marya-Róża nie poznała starej Cecylii. Usunęła się na bok, żeby ją przepuścić.

Lecz Cecylia nie ruszała się z miejsca. Wparta na okutym kiju, z którym nigdy się nie rozstawała, wpatrywała się pilnie w dziewczynę, jak gdyby chciała wbić sobie w pamięć jej rysy, jej piękność, co unieszczęśliwiła Piotra Ragon.

(C. d. n.)

DROBNE OGŁOSZENIA

W kompletny wyprawy kuchenne, najlepszej jakości (z medallionem najwyższym punktem przy znacznym odbiorze) poleca P. Chrapowicki, handel telany w Lwowie, plac Kapitulny 1 (naprzeciw biuro). P. H. Tarapel plac Sobieskiego.

KUPIĘ domek z ogrodem we Lwowie, lub w miasteczku mającym stację kolej. Lwów, Batorego 8. Bąkowska.

NAJTAŃSZE i najlepsze drzewo opałowe poleca handel Anny Czakowskiej Mickiewicza 20.

Kocony na konie, własnej roboty, z owczej wosy, wazy, duże, ładne, w pasy oszarne z pasem lub z kołtem, po 50. 50 sztuk. Dwór Lapezy-Breżany.

Ocyłe stalowe

H 100 sztuk Nr. 1 z 2-50, Nr. 2 z 3-8, Ocyłe ze stalowym żyłkami 100 sztuk Nr. 1 z 1-150, Nr. 2 z 1-70. Maszyny amerykańskie do strzyżenia bydła z 2-20, francuskie do koni z 2-50. Ufała w Warszawie 500 sztuk Nr. 7 z 1-10, Nr. 8 z 1-10. Litarie gospodarcze naftowe granitowe znakomite z 2-30, Kasy ogni trawiste Wartheimera od z 2-70, poleca

ANTONI HALSKI

handel żelazny Lwów, plac Maryacki 1. 9.

NAJLEPSZA WODA DO UST

przez profesorów radę Oppolera, Kalzbauera, Scholtzera i w. i. od 50 lat polecana, jest bezsprzecznie ANATERYN c. i. k. dentyści nadw. Dr. J. G. Popp'a w Wiedniu w flaszkach po zł. 1-40, 1-50, 1-70. Zaskiwające działanie przeciw wszelkim wadom zębów, bolowi zębów, nieprzyjemnemu oddechowi, chwiejności się zębom; wzmacnia dziąsła, utrzymuje zęby do późnego wieku, chroni przysąd gryzienia od próchnicy itd. Proszek do zębów 6 ct. anater od aowa pasta do zębów w szkiełkach 70 ct., w paczkach 35 pamioty do zębów 1 str., pach mydło zębów przeciw nieczyściwościom skóry 30 ct. Do nabywania w każdej aptece, drogiarzi i perfumeryi. Prawdziwe tylko w flaszkach, jak obok, z niebieską etykietą w jęz. franc. złotym drukiem mojej firmy.

Ulge i radykalne wyleczenie

HEMOROIDY przez użycie 3947 Maści i pigułek Dr. Lebel w Paryżu. W Lwowie w aptekach pp. Mikolacha Wiewiórskiego i Ehrbara. W Krakowie w aptekach pp. Wiszniewskiego, Redyka i Trauczyńskiego.

Zarząd rafinerii spirytusu, fabryki rumu i likierów

Henryka hrabięgo Szelińskiego w Kozowie sprzedaje „Trunek podolski“ specjalność fabryki, równający się koniakowi a znacznie tańszy, wyrobiony z czystej żytniówki.

2 wagi na bydło

każda na 1000 Hgr. z poręczą, 2 wagi pomocowe każda na 400 Hgr. (za skalą, przesłaniem, telaznym słupem i trawerami żelaznymi), wszystkie nowe i używane, znakomicie obdane, sbudowane silnie przez renomowaną firmę Bugany i Sp., przepiane ustawą pod karą 200 ztr. każdej większej ekonomii, fabryce, młynowi, gorzelnii, gminom, browarom, urzędowo w r. 1899 oświadczane, są do sprzenia bardzo tania z powodu śmierci. (Ścisła uregulowana rewizja wag obdwa się własnie).

F. BUGANYI I. Dompasse 8 im Hofe llnke, Wiedeń.

Cognac
CZUBA-DUROZIER & Cie.
 FRANCUZKA FABRYKA, PROMONTOR.
 Wszędzie do nabycia.
 Generalne zastępowo: RUDA & BLOCHMANN Budapeszt-Wiedeń.

Wszelkie kupony
 wylosowane papiery wartościowe
 wypłaca
 bez potrącenia prowizji lub kosztów
KANTOR WYMIANY
 o. k. uprzyw.
 galic. akcyjnego Banku hipotecznego.

Panie, które chcą ubierać się podług 1455 b
najnowszej mody
 nie chcą zaniedbać zażądania naszych próbek. Specjalności: Najnowsze jedwabne materye na toalety ślubne, wieczorkowe i na ulice. Sprzedajemy w Austro-Węg. tylko prywatnym i wysyłamy wybrane jedwabne materye cennie i opłacone do mieszkań.
Schweizer & Co., Luzern (Schweiz).
 Dom eksportowy jedwabliw.

L. 185/98. 4388
KONKURS.
 Prezydum Magistratu król. stoł. m. Lwowa rozpisuje nieniejszem konkurs na jedną posadę lekarza miejskiego ewentualnie jedną posadę asystenta sanitarnego tudzież na jedną posadę lekarza okulisty, każda z tych posad w X-tej randze etatu urzędników gminy z placą rocznie 2200 koron, dodatkami aktywalnym 480 koron, ryczałtem na dorochi 300 koron i dwoma podwyższeniami płacy po 4 względnie 8 latach służby na tej samej posadzie o 200 względnie 400 koron.
 Podania zaopatrzone w załączniki, udowadniające uzdolnienie kandydatów do tych posad, wnosić należy do Prezydum Magistratu w godzinach urzędowych w terminie do 15 lutego 1900.
 Co do obowiązków lekarza okulisty informacyi w myśl uchwalonej instrukcyi udzieli Fizykat miejski w godzinach urzędowania.
 We Lwowie 24 stycznia 1900.

Nowości na karnawał w jedwabiach i wełnie poleca **MAGAZYN SCHAYERÓW** we Lwowie.
Waleczki elastyczne do zaopatrywania drzwi i okien. **Kit, Gips** J. Friedrich & A. Beacock polecają po cenach najniższych Lwów, Hetmańska 1, obok cukierni Wgo Grossa
 Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostek. Z drukarni i litografii Pill-ra i Spółki.